

Kulisy pop-skandali Ambasadorzy galaktyki, faceci w sukienkach i zgniłe jaja

Czy ktoś pamięta Tytusa de Zoo, małpę z komiksu, i jego przyjaciół Romka i A'Tomka, których celem było rzeczonoego humanoida uczłowieczyć? W jednej z książeczek, autor, Papcio Chmiel, zdecydował uczłowieczać Tytusa poprzez zaznajomienie go z warsztatem dziennikarskim. Tytus zaczynał od bycia redakcyjnym gońcem magazynu „Trele Morele”, potem bawił się w grafika, w końcu dochrapał się stanowiska naczelnego i całkowicie przejął rządy. Zaprosił wówczas do redakcji kumpli i zaprezentował proces tworzenia gazety od podstaw, a dokładniej, cały repertuar środków niekonwencjonalnych. Pokazał im dziennikarską kaczkę, czyli żywego ptaka, którego puszczało się w teren, jeśli redakcji doskwierał brak pomysłów. Kaczka, niczym pocztowy gołąb, wracała wkrótce z wiadomością w dziobie, poprawnie zredagowaną, gotową do wykorzystania w piśmie. Jeśli głód informacji w redakcji był szczególnie dojmujący i biedne ptaszysko nie nadążało z robotą, pozostawał jeszcze palec. W specjalnym pomieszczeniu znajdowała się gigantyczna dłoń, złożona w gest wskazujący prosto w niebo. O wyprostowany palec wskazujący oparta była drabina, na którą dziennikarze wspinali się, po czym, przystawiając usta do palca, ssali... A potem wysaną wiedzę przelewali na kartkę. Były to wierutne bzdury, bzdury tak bzdurne, że w ich głupocie mogli połapać się również najmłodszy fani przygód de Zoo.

Proroctwo Tytusa

Po co to piszę? Otóż w latach 80-tych w rodzimej przestrzeni medialnej wcale nieźle funkcjonowało kuriozum ukazujące się pod wymownym tytułem „Skandale”. Periodyk ten specjalizował się w nietypowych, wyspanych z palca właśnie, doniesieniach. Przeczytać tam można było np. o emisariuszach z kosmosu, którzy przylecieli do Georga Busha (ojca) dyskutować o przyszłości planety (ach, te zdjęcia kosmity w limuzynie!), o kobiecie czującej ból włosami (były ukrwione i unerwione), przeto nie ścinała ich wcale, o Archaniele Gabrielu, który przyleciał do Szamotuł z przesłaniem, a to o grasującym gdzieś na Śląsku człowieku-pszczole... Magazyn wyglądał jak, nie przymierzając, istny strumień świadomości Tytusa de Zoo. A jednak, gdy przypominam sobie rojoną stylistykę „Skandali”, stają mi przed oczami dzisiejsze tabloidy. Tytuły były tak samo rozkrzyczane, leady tak samo wyraziste, z tezą. Zdjęcia równie nieporadnie zmontowane, robione niby z ukrycia etc. Po prostu „Fakt” tyle że 30 lat temu i za jakieś 2000 zł.

Dziś „Skandale” prawdopodobnie nie utrzymałyby się na rynku. Nie jestem pewien, czy znaleźliby się chętni na idiotyzmy w stylu gwałcącego turystki na wybrzeżach Jastarni chłopca-rekina, podwieczorków z Matką Boską w którejś w wielkopolskich plebanii, czy odkopania żywej mumii mamuto-psa na białostoczczyźnie. Może się mylę, ale wydaje mi się, że otwarty kontakt z Zachodem, globalizacja ideałów laickich i racjonalizmu, wzrost poziomu edukacji, kultura medialna zalewająca nas zewsząd informacjami mimo wszystko bardziej rzetelnymi itp. zrobiły swoje i masy – jeśli nawet wcześniej mogły się zabawiać czytaniem „Skandali” – dziś już nawet nie udają, że je to bierze. W dobie masowego komunikowania, Google’a i Wikipedii, wyjść na idiotę jest szczególnie łatwo. Lepiej przejmować się innymi, znacznie lepiej udokumentowanymi,

skandalami. Nauka rządzi się zasadą intersubiektywności, czyli – przykładowo – świeżuteńka jeszcze sprawa neutrin szybszych od światła musi zostać wprawdzie potwierdzona w innych ośrodkach badawczych, zanim zostanie uznana za naukowy fakt. Podobnie chyba rządzi się dzisiejsze skandale: dopóki o sprawie nie poda więcej niż jeden portal – skandal nie jest „sprawdzony” i wiarygodny. Podążając tym tropem, gdyby o emisariuszu z kosmosu podał dziś i Pudelek, i Kozaczek niezależnie od siebie, byłoby się czym przejmować. A przynajmniej sprawa wylądowałaby w „Szkle kontaktowym” jako skandal-ciekawostka. Tymczasem niezależnie od siebie tabloidy informują już nie o kosmitach, mutantach, potworkach i innych wybrykach natury, ale o osobliwościach nieco innej natury: celebrytach polskich i zagranicznych, politykach i mniej lub bardziej wstrząsających przygodach Polaków-zwykłych.

A jednak, „Fakt” i „Skandale”, choć treściowo tak różne, każą zwrócić uwagę na dwie zasadnicze kwestie: po pierwsze, potrzeba skandalu w dalszym ciągu w społeczeństwie występuje oraz, po drugie, skandale (zarówno te o ludziach z gwiazd, jak i o gwiazdach pośród ludzi) rządzi się podobnymi prawami i opisuje je podobna poetyka.

Od metafizyki do skandalu

Skandal, choć jest wytworem kultury masowej, może mieć swoje korzenie w naturze umysłu człowieka, w gruncie rzeczy, ponadczasowa wrażliwość na narracje utrzymane w podobnej estetyce wiele o nas samych mówi. Historyjki o celebrytach i kosmitach mogą skutecznie rozpalić wyobraźnię nie tylko miejscowych konsumentów pop-papki. Umiejętnie zapodane mogą być równie fascynujące dla Pigmeja, Aborygena czy Eskimosa, nawet jeśli ci wcześniej nie widzieli na oczy telewizora, czy, tym bardziej, laptopa. Wydaje się to niemożliwe, a jednak z punktu widzenia nauk ewolucyjnych, które oferują zupełnie nowatorski wgląd w zakamarki ludzkiego umysłu i początki kultury, można powiedzieć, że zarówno odcięte od świata, nieliczne już, plemiona łowców-zbieraczy i spasiona McNuggetsami klientela Disneylandu ze stałym łączem w plecaku, od zawsze opowiadają sobie historyjki o tym samym. Choć oczywiście historyjki te obudowane są już nieco innymi (kulturowo-cywilizacyjnymi właśnie) ozdobnikami.

Kluczem do zrozumienia mechanizmów budowania skandalu jest pojęcie informacji strategicznej. Używa go Pascal Boyer, antropolog poszukujący ewolucyjnych korzeni religii. Każdy z nas posiada pewien zasób informacji strategicznych na swój temat. Podobnie, istnieje jakaś liczba takich informacji o nas samych. Istotą tych informacji jest fakt, że chciałoby się ich mieć jak najwięcej o kimś, podczas gdy informacji strategicznych o sobie strzeże się jak oka w głowie. Przykłady takich informacji: zdrada małżeńska, kradzież pieniędzy z kasy firmy, zabójstwo sąsiada, skłonności pedofilskie, bycie szpiegiem, uzależnienie, bycie molestowanym, uczestnictwo w spisku, podłożenie komuś przysłowiowej „świni” lub choćby pospolite obsmarowanie szefa przy kawie z kolegami w pokoju socjalnym... Każdy posiada jakiś zasób treści (łżejszego lub cięższego kalibru) na swój temat, które chciałby ukryć, a które – gdy wyciekną – mogą stać się podstawą do szantażu, a w dalszej kolejności, do przeformułowania struktury społecznej.

Gdy pewne fakty wychodzą na światło dzienne – przykładowo, gdy szef uświadamia sobie, że obgadujemy go po godzinach lub gdy nasza kochanka dzwoni do naszej żony, bo drażni ją zwodzenie i niespełnione obietniczki o rozwodzie – wówczas potrzebna jest „definicja sytuacji”, która ustala nowy porządek, nierzadko z jakąś szkodą dla tego, kogo dotyczyły krytyczne wiadomości (w zależności od informacji, może ten ktoś iść do więzienia, partner może chcieć się z nim rozwieść, stracić majątek, może mieć

na pieńku z szefem, jego znajomi mogą się od niego odsunąć, w niektórych wypadkach może dojść do linczu etc.). Boyer tłumacząc ludzką skłonność do wiary w byty nadprzyrodzone wskazuje, że mamy obsesję na punkcie informacji strategicznych na własny temat i wciąż doszukujemy się możliwości ich wycieku. Bóstwo i jakikolwiek inny byt nadprzyrodzony to personifikacja obaw przed ujawnieniem takich informacji. Bóstwo wie wszystko to, co chcemy ukryć.

Ale odchodząc od wątków religijnych i wracając na pole skandalu: całe nasze życie składa się umiejętnego gospodarowania informacją strategiczną na nasz i na innych temat. Funkcjonowanie wśród ludzi to nieskończone lawirowanie pomiędzy wiedzą swoją i wiedzą innych (faktyczną lub domniemaną). I tutaj można doszukiwać się pierwszych widocznych trybików w mechanice skandalu: skandal to nic innego, jak niespodziewany wyciek informacji strategicznej do świadomości publicznej.

Przykłady takich wycieków:

- poważany ogólnie dostojnik Kościoła zamieszany w przestępstwa np. o charakterze pedofilskim;
- wysoki urzędnik państwowy przyłapany na przyjmowaniu olbrzymiej łapówki, w zamian za którą ma zatrzymać projektowaną od dawna reformę czy ustawę;
- znany i lubiany aktor podejrzany o współudział w zbiorowym gwałcie i morderstwie;
- władze szpitala oskarżone o tuszowanie okoliczności śmierci co najmniej kilkunastu swoich pacjentów;
- kandydat na prezydenta przyłapany na pijaństwie, zażywaniu narkotyków i zabawie z prostytutkami;

W każdym z tych wypadków mamy do czynienia z ujawnieniem bardzo istotnej informacji strategicznej na czyjs temat. W każdym z tych przypadków konsekwencje dla głównego bohatera afery będą nieciekawe, czy wręcz opłakane.

Skandal albo nowa definicja sytuacji

Pytanie, dlaczego nas to w ogóle zajmuje? Dlaczego jest to interesujące? Bez zainteresowania wszak nie byłoby mowy o jakimkolwiek skandalu. Powód jest prosty: choć żyjemy w wielotysięcznych metropoliach, nasz umysł, jako że ewolucja stawia długie i powolne kroki, w dalszym ciągu myśli kategoriami łowiecko-zbierackimi. Na poziomie umysłowych mechanizmów, działającymi nierzadko wbrew świadomej wiedzy, informacje ze świata interpretowane są zupełnie tak, jakby dotyczyły naszego najbliższego otoczenia. W zamierzchłej przeszłości praktycznie wszystko, co przytrafiało się innym osobnikom z naszej grupy, dotyczyło w jakimś stopniu nas. Czyjeś informacje strategiczne mogły momentalnie przełożyć się na naszą pozycję w grupie. I ta ewolucyjna „pamięć” daje o sobie znać również dzisiaj. Dziś fakty medialne dotyczą nas bezpośrednio stosunkowo rzadko, prawie wcale, ale zainteresowanie nimi jest tak wielkie, jakby były dla nas najzupełniej realne w skutkach. Powyższe skandale przełożone na język interakcji grupy łowiecko-zbierackiej oznaczałyby ogólny szok i konieczność natychmiastowej reakcji: ukarania winnych, pomocy ofiarom, odnalezienia sprawców, ochrony bliskich, wydalenia z grupy kogo trzeba, ukamienowania głównych zainteresowanych etc. Wobec takich doniesień psychologicznie trudno jest przejść obojętnie, w przeszłości taka obojętność mogłaby obrócić się przeciwko nam i naszym najbliższym.

Przykłady powyżej to scenariusze zupełnie zmyślone. Ale w sukurs im idą doniesienia jak najbardziej realne, choćby niechlubna sprawa Romana Polańskiego, przebieranki senatora Krzysztofa Piesiewicza, łapówka Lwa Rywina, czy seksafera w

Samoobronie. Sprawy te uchodzą za skandale ciężkiego kalibru: dotyczyły osób rozpoznawanych. Jednak – jak się okazuje – w świecie popkultury nie trzeba wybiegać aż na tak wysokie salony! Skandal konstruowany jest niemal na poczekaniu, dzięki wydarzeniom nieco mniejszej rangi i o mniejszym potencjale oddziaływania. To pierwsza zastanawiająca prawidłowość: skandaliczne rzeczy dzieć się mogą na każdym rogu. Oto przykład. Tytuły, na które udało mi się natrafić przeglądając internetowe strony „Faktu” i „Super Expressu” to m.in.: „Pozwolił chlać na umór piłkarzom”, „Na Boga! Dlaczego katechetka bije nasze dzieci?”, „Szok! Satanista uczył religii!”, „Zatłukli mi wnuka w parku”.

Opowieści kryjące się pod tymi hasłami, choć może nie tak spektakularne jak możliwości wykreowane przeze mnie czy faktyczne skandale „ciężkiego kalibru”, w dalszym ciągu spełniają jednak psycho-ewolucyjny wymóg: ujawniają informację strategiczną, która staje się powodem nowej definicji sytuacji oraz bardzo mocno dotykają perspektyw reprodukcyjnych bohaterów skandalizującego wydarzenia. Złe prowadzenie się i gwałcenie norm grupowych, niebezpieczeństwo czyhające na dzieci czy wreszcie śmierć w miejscu często przez wszystkich uczęszczanym – te wiadomości prawdopodobnie wywołałyby prawdziwy popłoch kilka tysięcy lat temu, w grupie złożonej ze 100-150 osób. Skandal nie jest zatem niczym innym, jak konfrontacją czyichś sprzecznych interesów, również interesów jednostki sprzecznych z interesem jakiejś grupy (choćby i całego społeczeństwa), wtłoczoną w środki masowego przekazu.

W stronę pop-skandalu

Ostatnio jednak skandal poddawany jest osobliwej dość, popkulturalnej obróbce – i jest to druga osobliwa prawidłowość: zamienia się w pop-skandal, który od strony formalnej spełnia może i wszystkie wymogi, od strony treściowej jednak – już niekoniecznie. Pop-skandal, którego warianty obserwujemy dziś, a którego przykłady podam za chwilę, nasuwa mi skojarzenia z idiotycznymi nagłówkami wspomnianego na początku tego tekstu PRL-owskiego magazynu, których wartość informacyjna była żadna (jeśli nie ujemna). Trafiło mi niedawno w ręce interesujące zestawienie bez przymierzania najdurniejszych artykułów rodem z bieżącej prasy tabloidowej (było ich całe mnóstwo co pozwala domniemywać, że natrafić na nie bynajmniej nie jest trudno). Wśród nich znalazłem następujące rewelacje: zrozpaczony mężczyzna przyznaje, że od długiego czasu funkcjonuje niczym zombie, nie śpi praktycznie wcale bo... trzyma kredens, który w każdej chwili gotów jest nań runąć i pogrzebać go pod stosem półek. Zapłakana matka, z przestraszonym dzieckiem na kolanach odsłaniają kulisy traumy: czajnik grozy chciał ich zabić. Starsza kobieta, na pierwszy rzut oka ofiara chuligana, ze łzami w oczach obnaża siną i opuchniętą połowę twarzy, po czym rozwiewa wątpliwości: to nie chuligański napad, to wybuch zgniłego jaja... Są też i inne ofiary, zaatakowane przez bobra, termo-koc, butelkę coli lub loki, bite przez własne potomstwo krakowską kiełbasą, oszukane przez kosmitów i tak dalej...

Poetyka tych „newsów” znalazła zresztą nietypowe uznanie w twórczości internautów, którzy powołali do życia inicjatywę „Faktoid”, polegającą na tworzeniu czasopisma nawiązującego stylistyką do tabloidów i obwieszczającą podobnie bezwartościowe, kompletne idiotyzmy, np.: „Bez obiadu i laczków przez 12 minut! Górnicy z Chile mieli pomoc NASA, ja waliłem ogórkiem w sufit! Gdyby nie sąsiad, umarłbym z głodu!”, „Obcas złamał się tak nagle! Nie było żadnych ostrzeżeń!”, „Szok! Poszedł na bazar a stracił jajka! Bestie z kosmosu balują za nasze!”, „Wyszedł z domu i wrócił! Czy widziałeś tego człowieka?” etc. Parodie tabloidów zakresem podejmowanej

tematyki nie różnią się szczególnie od oryginałów. Pytanie: gdzie tu miejsce na informację strategiczną?

Otóż nigdzie. I tym właśnie pop-skandal różni się od skandalu. Wartość informacyjna dąży do zera. Pop-skandal zdecydowanie jednak nadrabia formalną otoczką. Jego zadaniem jest stworzyć odpowiednie wrażenie i robi to w sposób identyczny, jak w przypadku relacji z objawień Archanioła Gabriela w lesie. Po pierwsze, nagłówek: rozwiewa wątpliwości co do tego, czy informacja jest ważna, czy nie. Jest gigantyczny, a więc jest ważna. Po drugie, w centrum zainteresowania gazety są relacje świadka, opinie ekspertów są nieważne, jeśli w ogóle sięga się po nie. Po trzecie, relacja zawsze będzie pierwszoosobowa, bez szczególnego pudrowania i dopieszczania przekazu, będzie „żywcem” wzięta od głównego zainteresowanego. Dochodzą do tego dodatkowe środki takie jak tytuły w formie pełnych gramatycznie zdań – standard prasowy raczej osobliwy. Stosowanie w narracji zaimków w pierwszej osobie: ja, my, moje, nasze. Stawianie pytań retorycznych: Jak on mógł!?! Jak do tego mogło dojść?! Czy można w to uwierzyć?! Formułowanie postulatów przy pomocy wołacza („Tusk! Oddaj nasze pieniądze!”) Sprawianie wrażenia, że relacjonowane wydarzenia w zamyśle miały być w jakiś sposób tajne, ukryte przed świadomością ogółu, a ponieważ wyciekły – okazały się dla wszystkich wstrząsające. Piłkarze chlali wszak na umór w tajemnicy, a teraz wszyscy to już wiedzą. Satanista po cichu indoktrynował dzieci – wydało się. Czajnik chciał zabić, ale mu się nie udało – teraz wszyscy wiedzą, że czajnikom już do końca ufać nie można. Zbuk zaskoczył biedną kobietę i wystrzelił jej prosto w twarz, biedaczka niczego się nie spodziewała. Tabloid dociera do tych zdarzeń i ujawnia je – oczywiście ku przestrodze innych.

Tabloid jako konieczność dziejowa?

Bardzo ciekawym polem do dalszych analiz są internetowe odpowiedniki tabloidów, a w szczególności portale plotkarskie w rodzaju Pudelka, Pomponika i Kozaczka. Natrafić tam można na inny wariant pseudo-skandalu. Nie dotyczą już one tak dziwnych przypadków jak eksplozja kurczaka w czyjejs mikrofal, opiewają za to przypadki z życia celebrytów. Część doniesień jest na temat gwiazd zagranicznych, część – naszych rodzimych. Są to jednak na ogół doniesienia w dalszym ciągu pozbawione istotnych treści strategicznych. Otrzymujemy zamiast tego gorące relacje z: wizyty u fryzjera i stylisty, zakupów w galerii, realizowania recepty, tankowania, przejażdżki Marszałkowską, randki, zakupu cheeseburgera, czy spaceru po ZOO z rodziną. Informacji strategicznych nie ma tu praktycznie żadnych, kreuje się jednak takie wrażenie prostym sposobem: podpatrywania. Reporter trzaska fotkę zza krzaka, z użyciem dużego zoomu – i voilà! – to, co chciano ukryć, podpatrzono i przekazano dalej. A co przekazano? Na zdjęciu widać bohaterów niczego nie świadomych, odwróconych tyłem, rozmawiających przez telefon nie wiadomo z kim i o czym, idących nie wiadomo gdzie... O tym, jak ową niewiedzę i pseudo-informację można jednak obudować wątkiem fabularnym i zrobić zeń newska można przekonać się na podobnych portalach bez problemu. Nie koniec na tym: pod koniec takiego „artykułu” pada sakramentalne pytanie do publiczności: a wy co o tym sądzicie? O tym, że posiadamy pogląd w sprawie przekonuje kilkadziesiąt wpisów od forumowiczów. Jest sensacja? Jest. Opinia publiczna działa? Działa.

Skandalizacja przekazu jest faktem. W tabloidach i na portalach plotkarskich wyraża się ona najpełniej, ale nie jest od niej wolny również przekaz uchodzący za bardziej merytoryczny. O gromadzeniu negatywnych emocji wokół konkretnych tematów spisano już całe kilometry prac. Wypada zadać w tym momencie pytanie nie o

skalę tego zjawiska – jest ona bowiem ogromna – ale o alternatywę. Czy do takiej skandalizacji przekazu musiało dojść? Musiało.

A dokładniej – musiało dojść w sytuacji urynkowania przestrzeni medialnej. Bardzo pomocną w wyjaśnieniu tego fenomenu jest perspektywa memetyczna. Memetyka postrzega kulturę jak naturalne środowisko dla idei, które rozprzestrzeniają się niczym wirusy zasiedlające nasze umysły. Istnieje zatem – prócz biologicznej – również druga ewolucja przebiegająca torem kreślonym przez naturalną selekcję: ewolucja ideosfery. Z pokolenia na pokolenie przekazywane są te memy („geny kultury”), które cieszą się największą popularnością i tym skuteczniej zasiedlając ludzkie umysły – znajdują naśladowców. Memetyka to w dalszym ciągu hipoteza, fascynująca, jednak nie znajdująca jeszcze ostatecznego potwierdzenia. W tym ujęciu świat kultury jest – w sensie formalnym – najzupełniej żywy i nie jest to metafora. Rośnie, mutuje, rozmnaża się, oddziałuje na tor ewolucji biologicznej, wypełnia nisze (jednak nie nisze ekologiczne a psychiczne, ale czy życie musi ograniczać się tylko do warunków fizykochemicznych?). Skandalizacja w tym ujęciu jawić się może nie jako perfidny zabieg twórców kultury masowej liczących na zysk. Ona jest strategią przetrwania informacji w świecie, gdy przestrzeń wprost zalana jest informacjami konkurencyjnymi. W takich warunkach trzeba szukać możliwości przewagi nad konkurencją. W świecie informacji źródłem takiej przewagi będzie skandalizacja. Jest to swoiste „prawo dżungli” nie eko-, a info-sfery. Słabsze, mniej rozkrzyczane, mniej widoczne i mniej absorbujące informacje po prostu nie rozprzestrzeniają się.

Pop-skandalista w defensywie

A skoro czas sprzyja skandalizacji i skandalom, na szczególne miejsce winni zasługiwać i skandalisci. Nie ulega wątpliwości, że w rozwoju popkultury pełnią oni rolę szczególną. Zastanawiające są jednak społeczne konsekwencje takiej roli. O jakich mianowicie skandalistach mówimy? Kubie Wojewódzkim? Lady Gadze? Mam nieodparte wrażenie, że w przypadku skandali ostatnich lat zadziałała znana psychofizjologom zasada habituacji. Im dłużej bodziec działa, tym mniejszy odnosi skutek, bo organizm się „przyzwyczaja”. Najszybciej habitującym się zmysłem jest u ludzi dotyk i węch. Ubrania czujemy w momencie nakładania, no, chyba że np. buty są za ciasne, wtedy czujemy je cały czas. Zapach przestajemy wyraźnie czuć po ok. 30 sekundach. Ze skandalem może być podobnie. Skandale „starej szkoły” kończyły się w sądach lub w więzieniu. Larry Flint ciągany był od instancji do instancji, pozywali go reprezentanci gorszonych na lewo i prawo mas, żądający jego bezpardonowego ukrzyżowania po każdym kolejnym ukazaniu się „Hustlera”. Skandalista, w rzeczy samej, dokonywał przeformułowania struktury społecznej, poruszał jej fundamenty, zmieniał światopogląd, czy się to ludziom podobało, czy nie. Opór otoczenia wobec skandalistów był i psychologicznie, i społecznie – uzasadniony i zrozumiały. Czy i dziś jest podobnie?

W przypadku Polski sprawa ta rysuje się niejednoznacznie, ale pewne świadectwa „wytarcia się” skandalistów można już odnaleźć. Prawdę powiedziawszy, ostatnim skandalem z prawdziwego zdarzenia wydaje mi się wystawa Doroty Nieznalskiej i jej „Pasja”. O ukrzyżowanym penisie głośno było we wszystkich mediach i to chyba wtedy na dobre rozpętała się dyskusja o granicach artystycznego eksploatowania symbolu. Były procesy, były protesty, były dyskusje, Nieznalska w pierwszej instancji dostała nawet pół roku ograniczenia wolności... Blisko 10 lat trwało, zanim artystkę uniewinniono. I, jak sądzę, tych 10 lat wystarczyło, by skandal na dobre się Polakom przejadł. Dla porównania, jeszcze stosunkowo niedawno mówiło się o Wojewódzkim i powtykanej w odchody fladze. Zrobiło się o tym głośno, ale głównie za sprawą osób

identyfikowanych ze skrajną prawicą, którzy oprotestować potrafią znacznie mniej dziwaczne występy. Pytanie jednak, czy nieszczęsna flaga w odchodach miała taki sam status jak instalacja Nieznalskiej – przełamującej pewne schematy, otwierającej nowe obszary dyskusji – czy była to po prostu prowokacja obliczona na medialny szumik. Czy darcie Biblii przez Nergala to skandal? Czy deklaracje Doroty Rabczewskiej jakoby Stary Testament spisało kilku ujaranych i napitych oszołomów – to już skandal? Sprawy te zdają się w niedługiej perspektywie spływać po społeczeństwie jak woda po kacze. Gorszący się mają automatycznie przyczepianą etykietkę zacofanych ramoli, pożałowania godnej wstecznej donkiszoterii, funkcjonariuszy establishmentu, a pewnie jeszcze w dodatku hipokrytów, którzy najwyraźniej mają jakiś problem, w myśl zasady, uderz w stół, a nożyce się odezwią.

Polska ma łatkę homo- i ksenofobicznej prowincji Unii Europejskiej. Kiedy patrzę na naszych rodzimych „skandalistów”, mam wrażenie, że to słowa bardzo na wyrost. Nie wiedzieć czemu Polskę stara się przerabiać na kraj o takim wizerunku. Najbardziej wymownym świadectwem, że to obraz nie do końca zgodny z prawdą, jest nadany przez TVN reportaż o Michale Szpaku, jednym z finalistów programu X-Factor, o którym prowadzący show Jarosław Kuźniar powiedział pamiętne zdanie, że „to Michalina jakaś”. Szpak w reportażu żali się na mentalną ciasnotę społeczeństwa, które go odrzuca, nie akceptuje, szufladkuje jako „pedała” czy jeszcze coś gorszego. Wypowiada te oskarżenia do kamery na jednej z rodzimych ulic... na której nikt, ale to nikt, nie zwraca na niego uwagi. Oto Szpak stoi wypudrowany i wyszminekowany, prowokuje w egzaltacji i uniesieniu, a tu zdiadziała, moherowa Polska mija go na chodniku i ani się nie obejrzy. Nie wątpię, że na Paradzie Niepodległości Szpak dostałby od łysych „patriotów” taki wycisk, że aż by huczało, ale takiego honorowego elementu nie brak nigdzie: na awangardowym Zachodzie też by Szpaka sprali, w gloryfikowanej do niedawna Holandii zwłaszcza. Prawda jest taka, że Szpak bardzo chciałby skandalizować, a nie może, bo społeczeństwo się już przyzwyczyło. Chciałby wsadzić kij w mrowisko a tu – niespodzianka – ma tysiące fanów „na fejsie”. Taki to skandal... Hermafrodytyczna modelka dochodzi do ścisłego grona finalistek w programie Top Model, ale możliwe jest to tylko w nietolerancyjnej Polsce... O Wojewódzkim też mówi się, że to skandalista, na ogół gorszy on jednak prawicowych ekstremistów, czyli nie społeczeństwo, a jakiś jego promil. Polska poglądowych przeciętniaków albo go lubi, albo ma go gdzieś. W ostateczności może mu pokazać środkowy palec, jak zrobił to jeden z kierowców, który tak tym Kubę rozeźlił, że ten – jak o tym wspominał w swoim show – wymontował mu przednią szybę. Skończyło się w sądzie, ale nie dlatego, że skandalista kogoś tak zgorszył, tylko dlatego, że skandalista temu komuś zniszczył samochód. Kto tu kogo sprowokował? Dla „skandalisty” taki incydent to przyznanie się do porażki a nie świadectwo walki o zmianę światopoglądu.

Skandal światopoglądowo neutralny?

Choć popkultura usiłuje nas przekonać, że żyjemy w rzeczywistości skandalu, w gruncie rzeczy na skandal ten nas znieczula. W socjologii funkcjonuje klasyczny termin „odczarowanie świata”. Wraz z postępem, nauki, technologii, etc. dokonuje się swoiste odczarowanie rzeczywistości, która zatracza swój tradycyjny, nieco magiczny komponent. Świat ma coraz mniej do ukrycia, mniej zadziwia, zaskakuje. Takich odczarowań można doliczyć się w historii cywilizacji co najmniej kilku. Wraz z rozrostem sfery mediów doszło chyba do kolejnego odczarowania: coraz mniej jest nas w stanie zszokować. Przełamywanie tabu jest nie ciekawostką, ale obowiązującym standardem. Czy wobec tego cokolwiek jest w stanie nas jeszcze zszokować, poruszyć?

Gdyby na problematykę skandalu spojrzeć ogólnie, skandal jawi się jako atak na centralne wartości społeczeństwa. Ale o jakich wartościach mówić w dobie politycznej poprawności, multikulturalizmu i programowego – postmodernistycznego – dystansowania się wobec konkretnych wizji światopoglądowych? Czy jest cokolwiek, co spaja współczesne społeczeństwa na tyle, by wywołać skandal?

Dziś spajają nas zupełnie inne rzeczy niż religia czy filozofia. Spaja nas ekonomia i polityka. Zachód określa się dziś mianem społeczeństw konsumpcyjnych, tudzież informacyjnych. Może zatem konsumpcja i dostęp do informacji są ponadnarodowymi wartościami XXI w.? Coś mi mówi, że jedyne źródło skandalu kryje się dziś właśnie w tych obszarach. Czy jawne uniemożliwienie ludziom dostępu do pewnych treści wiązałoby się ze skandalem? Możliwe. Ograniczenie możliwości wolnego konsumowania – z pewnością. Zaryzykowałbym stwierdzenie, że w ostatnich latach, w dobie przemijających pseudo-skandali pojawił się bodaj jeden wyrazisty skandal, który trwa od dobrych kilku miesięcy i jeszcze się nie skończył. O tym skandalu najlepiej wiedzą „Oburzeni”. Ruch „Occupy Wall Street” to typowy przykład reakcji tłumów na – jego zdaniem – ewidentny skandal. Mamy krzyczące transparenty, postulaty, mamy sprzeciw, żądanie sprawiedliwości, bunt i wizję, społeczną niezgodę na definicję sytuacji proponowaną przez różne „złodziejskie”, finansowe instytucje. Tylko czy korporacje pasące się na 99% reszty społeczeństwa to skandaliści?

De Sade uchodził za skandalistę bez wątpienia. Dlaczego? Czy tylko za seksualne ekscesy, które w jego czasach wcale nie były takie rzadkie? Warto do niego zajrzeć. Pierre Kloskowski napisał, że jako jeden z niewielu Sade powiedział społeczeństwu prawdę o nim samym. Czy to jest definicja skandalisty? Jeśli tak, kryzys – bo to w gruncie rzeczy on a nie korporacje wkurzył młodych na całym świecie – również mówi społeczeństwu gorzką prawdę. To nie korporacje, a brak konsumenckiego rozsądku zaciągnął nas do punktu, w którym obecnie stoimy. I może dlatego tak trudno jest się z tym pogodzić.

Kultura konsumowania ukazuje nam zatem nietypowy paradoks. Sama żywi się skandalem, bo gwałcenie norm obyczajowości to już popkulturalna codzienność, więcej, to popkulturalny dogmat. Bez tak rozumianego skandalu przeciętny telewizz umarłby dziś z nudów. Ale paradoks o którym wspominałem kryje się gdzieś indziej. Wyobraźmy sobie sytuację, w której miliony ludzi otrzymują e-mail o treści: „Witaj. Od dziś nie dowiesz się o żadnym skandalu. Nie wolno Ci.” Rezultat? Ludzie na ulicach. Drugi – po „oburzonych” – pełnokrwisty skandal, jaki przychodzi mi do głowy, to jedynie... reakcja na oficjalny zakaz skandalu.

Tomasz Kozłowski

Socjolog popkultury, bada ewolucyjne uwarunkowania kultury masowej. Adiunkt w Katedrze Socjologii Wyższej Szkoły Nauk Humanistycznych i Dziennikarstwa. Autor „Kłamię więc jestem”, współautor „Nagiej mały przed telewizorem”. Wydanie jego trzeciej książki, „Samotny hulaka. Rzecz o proto-kulturze ery pop” przygotowuje Oficyna Wydawnicza ŁOŚGRAF